

# Nigdy nie grałam wbrew sobie

Rozmowa z Zofią Rysiówną

— Spotykamy się z okazji radiowej adaptacji „Niemców” Kruczkowskiego. Grała Pani już kiedyś rolę Ruth w telewizyjnej realizacji tego dramatu. Teraz usłyszeliśmy Panią w roli matki, Berty Sonnenbruch, postaci tyle przeobrażającej, co tragicznej.

— Jest to kobieta uwikłana w sytuację polityczną i rodzinną. Teraz pojmujemy tę postać nieco inaczej, szerzej niż wtedy, gdy powstała ta sztuka. Wówczas ograniczano się w jej interpretacji do tego, co faszyzm może zrobić z umysłem ludzkim. Obecnie mamy większą wiedzę na temat tamtych strasznych czasów. Ta kobieta poddała się systemowi, jednokierunkowemu myśleniu, które wymagało od niej uproszczeń. A to spowodowało dla niej, jej rodziny i całego narodu tragiczne konsekwencje. Ale to my wiemy, natomiast Berta wie ciągle tyle, ile wiedziała 45 lat temu. Zresztą wbrew pozorom i profesor Sonnenbruch w chwili próby nie zdał egzaminu ze swego humanizmu, którym tak się szczycił. Tylko człowiek sztuki — aktorka Ruth wyzwała się spod dyktatu ideologii, nie poddaje się presji swego otoczenia. I tu Kruczkowski niejako składa hołd artystom.

— Niedawno słyszeliśmy Panią w innym słuchowisku, w roli seniorki rodu, w adaptacji powieści Dolegi-Mostowicza „Bracia Dalcz i Ska”. Czy chętnie przychodzi Pani na Myśliwiecką?

— Bardzo lubię radio, bo tu jest najsympatyczniejsza atmosfera, bardziej ciepła niż w telewizji, a nawet — w teatrze. Wszyscy uważamy radio za azył spokoju i kultury. Niepokoi nas tylko tempo pracy. Nasza rola ogranicza się właściwie tylko do przeczytania tekstu. Nie ma czasu na to, by przeanalizować rolę, zanalizować ją, sprawdzić czy można wydobyc z niej coś więcej. Stąd uczucie pewnego niedosytu.

— W teatrze jest Pani zwolenniczką wielkich napięć. Takie przeżycia daly nam Pani teatralne kreacje wielkich heroin antycznych, jak Berenika, Klitemnestra („Elektra”), Agrypina („Brytannik”) i romantycznych: Ball-dyna, Diana („Fantazy”), Judyta („Książka Marka”), Amelia („Mazepa”). Mówi się o Pani: jedna z nielicznych obecnie tragiczek sceny polskiej. Czy reżyserzy tak Panią obsadzają, czy może i Pani ma w tym wyborze swój udział?

— Nie miałam nigdy przyjemności wybrać sobie roli, zresztą nie byłabym w stanie domagać się czegoś dla siebie. Ale dodam, że nigdy nie grałam wbrew sobie. Bo i role komediowe, w których występowałam — Celimena w „Mizantropie”, Podstolina w „Zemście” czy Lizystrata w „Gromiwoi” — nie należą do takich, o których by ktoś napisał, że zostały źle obsadzone.

— Właśnie za rolę Celimeny w poznajskim przedstawieniu „Mizantropa”



Fot. Mirosław Stankiewicz

zebrała Pani piękne recenzje. Ale Pani nie identyfikuje się z odtwarzanymi bohaterkami, a również i nie uwspółcześnia ich, co jest tak modne. Z drugiej strony pozwala im Pani przeżywać rozpacz, zazdrość, nienawiść, miłość i radość. A więc jest to gra pełna ekspresji. I w Pani przypadku należy to uznać za wyjątkowo trafny wybór środków wyrazu.

— Wokół współczesnej interpretacji utworów dramatycznych powstało wiele nieporozumień. Nie można uwspółcześniać postaci nie tylko sprzed 20 wieków, ale i tych XIX-wiecznych. Innych bohaterów budowali Sofokles i Ajschylos, innych — Szekspir, Racine, innych — Słowacki, a jeszcze innych buduje współczesny autor. Ale z mojej strony nie jest to tylko zimna kalkulacja, bo ja tych środków wyrazu nie wybieram. Wamnie to jest, takie cechy psychiczne, taki głos i sposób bycia, również wrażliwość na czystość języka, na piękno mowy polskiej. Myślę, że to także jedna z przyczyn, dla których gra starszych aktorów odróżnia ich od młodszych. A w ogóle do formy scenicznej interpretacji przywiązuję ogromną wagę, taką samą jak do treści.

— Jak określiłaby Pani miejsce aktora w sztuce — między autorem a reżyserem?

— Takie miejsce zajmuje aktor tylko

wtedy, gdy reżyser nie dość się z autorem identyfikuje. Ale są też i znakomici reżyserzy, którzy odchodzą od autorskiej koncepcji. Nie mieszcząc się w niej jako twórcy, poszerzają ją o własną wizję. Sądzę, że o ile nie należy czegoś dodawać np. do „Książki Marka”, o tyle w przypadku sztuk autorów współczesnych ingerencja utalentowanego reżysera może dać ciekawe rezultaty, oczywiście przy akceptacji autora. A wracając do roli aktora, każdy z nas musi znaleźć swoje miejsce w teatrze, bowiem każdy ma określone możliwości i w pewnym stopniu od niego zależy, czy je właściwie wykorzysta i czy dokona trafnego wyboru w tym, czym dysponuje jako artysta i człowiek. Olbryzmia siła psychiczna, wyrażona mądrym głosem, pozostaje tylko mądrym pisakiem.

— Powszechna jest opinia, że największą satysfakcję daje aktorowi praca w teatrze. Jest to również i Pani zdanie. Ale dzięki telewizji większa niż w teatrze liczba widzów mogła oglądać Panią w znakomitych rolach: Elektry w „Muchach” Sartre’a, Heddy w „Heddzie Gabler” Ibsena, Heleny w „Wujaszku Wani” Czechowa, Racheli w „Weselu” Wyspiańskiego, Matki Joanny w „Matce Joannie od aniołów” Iwaszkiewicza, Lady Mackbet w „Mackbecie” Szekspi-

ra. Jakie doświadczenia zdobywa aktor w telewizji?

— Myślę, że aktor głównie sprawdza tu swoją sprawność techniczną. Realizatorzy telewizyjni ograniczeni czasem dobierają przeważnie takich aktorów, którzy dają gwarancję szybkiego porozumienia, a więc — doświadczonych, bowiem i warunki pracy są w telewizji ciężkie. Choć w pierwszych latach istnienia polskiej telewizji było jeszcze trudniej, bo graliśmy na żywo. Ja tego nie żałuję, bo dawało to nam wówczas taką radość, jaką daje prawdziwy teatr, gdzie uczestniczy się we wspólnym twórczym dziele.

— Zagrała Pani aż w czterech adaptacjach telewizyjnych utworów Zofii Nalkowskiej: „Romans Teresy Hennert”, „Choucas”, „Dom kobiet”, „Dzienniki czasu wojny”. Czy to zbieg okoliczności?

— Zbieg okoliczności, który uważam za szczęśliwy. Zofia Nalkowska jest autorką najpiękniejszego opisu mojego miasta — Nowego Sącza, który to opis zawarła w reportażu napisanym w 1936 r. Za to ją kocham. Chciałabym tu przy okazji wyrazić uznanie dla niedawnej telewizyjnej adaptacji „Granicy” zrealizowanej według scenariusza i w reżyserii Jana Bieżyńskiego. Przedsięwzięcie to uważam za najlepsze z dotychczasowych adaptacji tego utworu. Realizatorzy ukazali całe bogactwo, wielowarstwowość problematyki tej jednej z najznakomitszych powieści Nalkowskiej. I uniknęli przy tym pewnej manierowości stylu autorki.

— Kiedy będziemy mieli znowu okazję usłyszeć Panią w radiu i ujrzeć na małym ekranie?

— W radiu biorę udział w realizacji słuchowiska Ryszarda Frelka o tematyce współczesnej „Wczesny odlot żurawia”, gdzie znowu gram rolę profesorki. Reżyseruje Sławomir Pietrzykowski. Natomiast w telewizji gram postać generałowej Jepanszyn w adaptacji „Idioty” Dostojewskiego. Zdaję sobie sprawę, że adaptowanie Dostojewskiego jest wysiłkiem nieomal szczytowym, ale może to spowodować ponowne sięgnięcie widza po lekturę książki, która jest fascynująca. Zresztą każda adaptacja powieści jest zubożeniem tematu, a w przypadku Dostojewskiego... nie śmiem powiedzieć.

— A więc Dostojewski czy Nalkowska stanowią rozszyfrowanie Pani hobby, którym jest — cytuję za „Kto jest kim” — lektura?

— Autor, do którego wracam, to Tomasz Mann. Ale czytałam też z zapalem prozę współczesną.

Rozmawiała  
DANUTA KWIATKOWSKA

Zofia Rysiówna wystąpi w Teatrze PR w słuchowisku „Wczesny odlot żurawia” wg sztuki Ryszarda Frelka, w reżyserii Sławomira Pietrzykowskiego. PR I, 18 XI godz. 22.00.